

Legenda stwarzała jednak nowe możliwości! To, co dziewczyna obserwowała w skali makro, odsłoni niedostrzegalne gołym okiem tajemnice. Uznała, że pierwszeństwo przypada tu rzadkim, brodatym porostom, które zawsze podziwiała.

„Może rosły za czasów Vandy?” – myślała, jadąc naprawdę szybko.

Wkrótce kamienice zrzedły i niechętnie ustąpiły pola dzikszym krajobrazom. Pochyły teren wznosił się, aż wreszcie tylko nagie drzewa wspinały się pod górę – tutaj, w zachodniej części Krakowa, królował Las Wolski. Wanda wciąż dziwiła się, że zdołał przetrwać w towarzystwie przybranego peruką zanieczyszczeń miasta, a nawet ustalił granice, których nie śmiało przekroczyć.

Była to rozłożona na wzgórzach mozaika buczyn i przeplatanych dębami brzezin. Szlaki turystyczne uczyniły knieję jednym z ulubionych obszarów rekreacyjnych, ale tam, gdzie nie ujarzmiono jej asfaltem ścieżek, zachowywała pierwotny, pobrużdżony parowami charakter, który dziewczyna tak uwielbiała.

Gdy znalazła się w głębi, porzuciła wytyczony gładką nawierzchnią kurs i dała nura w rozpostarty pośród drzew półmrok. Odetchnęła głęboko... Niepowtarzalna aura Lasu Wolskiego przeniknęła z płuc do krwi, wypełniając znajomym uczuciem bliskości natury. Przesiąknięta nim Wanda ruszyła przed siebie. Drogę wybierała instynktownie.

W miarę jak zagłębiała się w puszcę, wszystko przybierało szatę dzikiej niedostępności. Mijała wąwozy o ostrych, a zarazem śliskich skrajach i rozlewiska niewielkich rzek. Gdzieniegdzie gleba wręcz bulgotała pod jej stopami, jakby nawet mróz nie zdołał utwardzić wilgotnego poszycia lasu. Białe skały, które czasem wznosiły się znad gruntu, przypominały duchy, a drzewa... Drzewa zdawały się mieć twarze. Spod gruzłowatej kory spoglądały oblicza starców, kobiet i dzieci. Ich oczy-nie-oczy wyrażały to, czego nie zrozumie zwykły człowiek.

Ona rozumiała. Szła coraz dalej, zatracając poczucie czasu.

Wkrótce zapadł zmrok. Wiedziała, że powinna wracać, ale coś jak magnes ciągnęło ją naprzód, przed siebie. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, gdzie jest i poczuła śliskie, zaciśnięte wokół gardła palce niepokoju. Cisza, która zewsząd wypełniała przestrzeń, wydała się straszna, obca.

Wtedy usłyszała szum: nierównomierny i zmęczony. Urwany, gdy skrzydlaty przybysz dotknął ziemi.

– *Hor'ka* – syknął, przewracając się.

Wanda przywarła do najbliższego z drzew. Przez ułamek sekundy chciała uciec. *Dragonus Cracovus* nie wychylały nosa z Zakrzówka, a mimo to jeden z nich wylądował właśnie wśród zatopionego w nocy Lasu Wolskiego...

„Raczej nie szuka porostów” – pomyślała i najeżyła się jak spłoszone zwierzę.

Smok mógł oczywiście zabłądzić. Nie wyglądał jednak na kogoś, kto dotarł w to miejsce przypadkiem. Ustaliła też, że nie był smokiem, a smoczycą o kobaltowej łusce. Choć mrok kaleczył ostrość widzenia, rysy zjawy zdradzały kobiecą kruchość. Miała na sobie modnie, lecz prosto skrojoną tunikę i powłóczysty płaszcz z otworami na skrzydła. Kręciła się w miejscu, jakby czekając na coś. Wanda zauważyła wówczas rzecz, którą powinna dostrzec od razu – prawe skrzydło przybyłej zastępowała metalowa proteza: system dźwigni i rozpięte między nimi, półprzezroczyste płótno, które imitowało błonę lotną. Widok szokował... Rozbudził więc ciekawość dziewczyny – o ile rozważała przed chwilą, czy nie odejść i nie mieszać się w tę podejrzaną sprawę, o tyle teraz była przekonana, że warto zostać, a naukowe nawiedzenie tylko podsycalo pragnienie obserwacji.

„To chyba jedyna szansa...” – pomyślała i zaczęła skradać się śladem smoczycy, gdy ta ruszyła przed siebie.

Niebawem minęły płytki wawóz. Drzewa stały się rzadsze i znacznie niższe; rosły wygięte jak ludzie dotknięci paralizem. Rozpostarty wyżej granat nieba połknął gwiazdy.

Polana, na którą trafiły, przypominała zniekształconą elipsę. W powietrzu wisiał zapach siarki. Ale nie on przeraził Wandę.

Pośrodku polany ustawiono sporych rozmiarów konstrukcję. Był to metalowy trójnóg, który podtrzymywał wykonaną z masywnego kryształu, przezroczystą kulę. Do wnętrza prowadziły osadzone na zawiasach drzwi. Nie licząc dziurek u szczytu kuli, stanowiły jedyny otwór.

Tym, którzy znajdowali się w środku, nie robiło to różnicy. Martwi mieli na sobie stroje, w których Dragonus przybyły do Krakowa.

Ukryta za drzewem dziewczyna osunęła się na ziemię. Z trudem łapała oddech.

„Co tu się stało?!” – grzmiało jej w głowie.

Odpowiedź – mglistą i tajemniczą – usłyszała chwilę później.



*Hon^allal*ssof*, Podniebny Pojazd – czy też smocza lektyka, jak nazywali ten wehikuł ludzie – przemykał wśród skłębionych chmur i przecinał je siłą pędu, który zapewniały rozjarzone światłem silniki. Wprawiająca go w ruch maszyneria nie wydawała dźwięków, a o prędkości, z jaką leciał, świadczyło jedynie drżenie ścian, bo to one przyjmowały uderzenia wiatru, który chłostał na wysokościach z siłą piekielnego bicia. Najmocniejszy choćby cios nie mógł się jednak równać z groźnymi spojrzeniami, jakie Amron, kierowca Podniebnego Pojazdu, raz po raz ciskał w Vebulę Pradragorozuh.

– *Shen leb zol ul^vu~yenioli, lora!* – mamrotał wzburzony. – Co też sobie wymyśliłaś, pani! Co też sobie wymyśliłaś...

Vebula, młoda smoczyca o kobaltowej łusce, nie odpowiedziała. Zamyślona, spoglądała przez okno. Najchętniej odwróciłaby się do Amrona swoim metalowym skrzydłem, aby zimna powierzchnia odbijała niechciane słowa. Nie miała ochoty otwierać ust.

Amron natomiast nie zamierzał przestać mówić.

– *Sha ilcco yup*mrehthe ip oiop* – ciągnął z właściwą starszym wyższością, choć był służącym, Vebula zaś panią. – To jest pomysł zły i głupi. Od początku do końca. Zły i głupi, powiadam ci, *lora*, zły i głupi.

– Nie wymagam, żebyś powiadał inaczej – odparła wreszcie smoczyca. Jej głos brzmiał ciężko, z trudem wydobywał się ze ściśniętego gardła. – Wiem, co sądzisz. Rozumiem cię. Proszę jedynie, żebyś ty zrozumiał mnie.

Amron fuknął ze zdenerwowaniem.

– Nie doceniasz swojego kierowcy, pani. Gdyby siedział tu ten... Jak mu było? A! Tak... Loberyk... Loberyk, którego Jej Ognistość chciała Ci przydzielić, zapewne już dawno związałyby cię i zawiózł prosto do *Ke*vushcass*. O, jestem przekonany, że właśnie to by zrobił, a nie... Dyskutował, upominał, prosił!

Vebula dyskretnie przewróciła oczami.

– Nie sądzę, żeby Loberyk w czymkolwiek uchodził za autorytet – powiedziała cicho. – A dyskutować, upominać i prosić naprawdę nie musisz. Po prostu zatrzymaj się w miejscu, które wskażę i pozwól mi wysiąść. To tyle, tylko tyle. Potem możesz lecieć „prosto do *Ke*vushcass*” jakby nigdy nic, uwierz.

– Jeszcze czego! – wybuchnął Amron. – Wiesz, *lora*, ile wedle kodeksu powinno kosztować mnie twoje „tylko tyle”?! Poczekaj, niech pomyślę... Złamanie rozkazu Zempher Draregiss*rapthiss Rezz, ukrywanie prawdy i ponowne złamanie rozkazu Zempher! Nie wygląda to najlepiej. Z tego, co sobie przypominam, za takie przewinienia odbierają Prawo do Lotów Wysokoniebnych... Jakby nie było, ja z Prawa do Lotów Wysokoniebnych żyję, żywię nim moje dzieci, moją żonę, nawet moją babkę, więc wypadałoby go nie tracić, *lora*. O ile najpierw *Lon*n’*Vlamicci* nie urwałyby mi głowy...

Vebula westchnęła.

– Czy uważasz mnie za osobę samolubną? Każę ci mnie zostawić, żebyś NIE MIAŁ problemów.

– O tak, tak, *lora*. Ciekawe, za kogo ty masz mnie? Miałbym cię zostawić? Samą? W przestworzach? Z tym żelastwem zamiast skrzydła...?!

– Nie będę sama. Będzie ze mną Hnypre Theheraccthil. Podrzuci mnie gdzie trzeba i nie będziesz musiał się narażać. To dobry plan, nie powinienes się niczym martwić...

– Hnypre Theheraccthil?! – kierowca zeszywniał. – *Hov^solog*vlama*, na skwierczący płomień, jeszcze jej tu brakowało! – skrzywił się zażenowany.

Potem opuścił ramiona i garbiąc się, wymamrotał coś pod nosem. Twarz smoczyca rozjaśnił uśmiech. Bardzo smutny uśmiech. Wiedziała już, że wygrała.

– To tutaj – szepnęła, gdy przelatywali nad Lasem Wolskim, a bezlik drzew przesuwiał się pod nimi niczym falujący całun. – Zatrzymaj się.

Amron syknął, charknął i prychnął. Na koniec wcisnął hamulec. *Hon^allal*ssof* stanął w miejscu, zawisł wśród chmur. Vebula pchnęła drzwi.

– HNYPRE! – zawołała i szczerzej otuliła się swoim płaszczem.

W odpowiedzi dał się słyszeć świst. Smuga błękitnego światła przemknęła pod lektyką, drążąc w kłębowisku chmur zauważalny tunel.

– Ruszaj się, Veb – wykrzyknął jakiś wesoły, niepasujący tu głos. – Chyba nie wyobrażasz sobie, że poprowadzę cię za rączkę!

– Nie, nigdy nie miałam aż tak bujnej wyobraźni – słowa Vebuli zagłuszył wiatr.

Ona sama zadrżała. Starła się nie patrzeć w dół. Lęk wysokości nie występował wśród Dragonus, u niej był jednak na porządku dziennym. Proteza skrzydła, choć nowoczesna i bardzo funkcjonalna, nie sprzyjała pokonywaniu strachu i narosłych latami, wewnętrznych barier. Mimo że Vebula mogłaby fruwać, nie fruwała. Gdy unosiła się w powietrzu, wspomnienia z dzieciństwa wracały. Znow widziała

skąłę – ciemną i najeżoną stalagmitami. Czują pęd, nie umiała się zatrzymać. Gdzieś z tyłu słyszała przerażony pisk pozostałych smocząt, które obserwowały, jak po zderzeniu spada z wysokości; jak rozbija się, tworząc obfitą plamę krwi...

Przeżyła cudem.

„Szczerze wątpię, by takie cuda zdarzały się więcej niż raz” – pomyślała, bo nie udało jej się uniknąć spojrzenia na pozostającą w znacznej odległości ziemię. Przełknęła ślinę. Niezdarnie machnęła skrzydłami, po czym wykonała kilka równie niezdarnych kroków. Chmury tylko z pozoru przypominały zwarty dywan. W oka mgnieniu zapadła się, zaczęła tonąć w wilgotnej mgle. Hnypre była na to przygotowana. Brawurowo skręciła swoim *Hnyrr*’mon’, Rozpruwaczem Obłoków, chwyciła rękę Vebuli i pomogła jej wsiąść na tylne siedzenie pojazdu.

Kobaltowa smoczyca głośno wypuściła powietrze.

– *Hor^{ka} scun^{ka}!* – zakląła siarczyście.

Hnypre wybuchnęła śmiechem. Dosadne wyrażenie brzmiało w ustach mało wylewnej Vebuli nieco komicznie. Ona z kolei nie stroliła od przekleństw. Ku oburzeniu szanowanych i wysoko postawionych rodziców używała ich niemal wszędzie, co wpisywało się w jej buntowniczą naturę. Nie należała do posłusznych! Gładką niegdyś, złocistą łuskę kazała pokryć geometrycznymi tatuażami, które girlandami kształtów zachodziły aż na błonę skrzydeł, przekłutą na domiar niezliczonymi kolczykami. Podobnie udekorowano głowę Hnypre, przez co grzebień na jej czole podzwaniał przy najmniejszym ruchu. Brak pokory potwierdzał też strój: obcisły, nabijany topazowymi ćwiekami kombinezon z czarnej, matowej skóry i sznurowane buty, które bez reszty i na zawsze zdeptały spokój Govnara Theheracthil.

Nie potrafił znieść, że jego córka – dziedziczka rodowej fortuny – jest słuchającą *reherri* (w języku ludzi „szumu”, czyli głośnej, agresywnej muzyki), wiecznie balującą miłośniczką rzucania nożami. Choć próbował ją poskromić, nie udało mu się przemówić Hnypre do rozumu. Nie zdołał powstrzymać jej od zakradania się do rodzinnej fabryki

maszyn latających, skąd cichaczem wynosiła części różnych – zwykle bardzo szybkich – pojazdów. Kiedy z owych części powstał *Hnyrr*’*mon*’, coś w rodzaju powietrznego motoru, Govnar nie był w stanie zrobić nic, by zabronić córce śmigania w przestworzach z niewyobrażalną i niedozwoloną prędkością. W sprawie ograniczenia tej prędkości zwrócił się nawet do Vebuli Pradragorozuh, najlepszej przyjaciółki Hnypre, lecz i to nie przyniosło efektów. Vebula wiedziała, czym jest dla niej pędzić przed siebie.

– Rzeczywiście wierzysz, że pewnego dnia prześcigniesz wiatr? – zapytała kiedyś.

– No, ba! – Hnypre błysnęła białymi zębami. – Jeszcze jak! Wiara jest paliwem mojego motoru – wyjaśniła i, o dziwo, nie wtrąciła żadnych przekleństw.

Były jak woda i ogień, ale szanowały własne upodobania. Nigdy też nie odmawiały sobie pomocy.

– A co, jeśli ci powiem – Vebula objęła Hnypre w pasie – że łąmiemy przynajmniej tuzin rozkazów Jej Ognistości?

Złocista smoczyca prychnęła.

– Niech się Zempher gibie! O ile da radę – odparła, chichocząc pod nosem.

– Jeśli się dowie, na pewno da radę zrobić coś więcej – mruknęła Vebula. – W końcu to Zempher. Dlatego musimy być szybkie.

– To co? – Hnypre wyszczerzyła się zawadiacko. – Przyspieszamy?

– *Hor^vka*, niech ci będzie – Vebula zbladła i zacisnęła oczy.

Po chwili obniżyły lot. Las, który miały pod sobą, przesuwiał się coraz prędzej, a stopy Vebuli niemal muskały korony drzew. Panująca wokół noc zdawała się ścisnąć, dusić. Smoczyca poczuła, jak serce podjeżdża jej do gardła. Była blisko. Blisko tego, z czym przybyła się zmierzyć.

Gdyby nie fakt, że Zempher Draregiss**r*apthiss Rezz wysłała ją do *Arrva Yrrtat* – siedziby Dragonus Carpatus, dzikiego plemienia smoków zamieszkujących Karpaty – nie mogłaby się tu znaleźć.

Na razie królowa zakazała opuszczać *Ke*vushcass*, jak Dragonus Cracovus nazywały Zakrzówek. Vebula była jednak zdeterminowana. Jeżeli czegoś chciała, potrafiła dążyć do celu każdym sposobem; potrafiła zdeptać każdy rozkaz, nawet gdy pochodził od *Lonn’*Vlamicci*, którą poddani darzyli nie tyle czcią, co trwożliwym respektem. Normalnie wyzbycie się owego respektu stanowiłoby dla Vebuli nie lada problem, ale teraz miała do zrobienia rzecz tak ważną, że nic i nikt nie mógł jej powstrzymać. Bała się. Bała się okropnie, lecz wcale nie Zempher.

Hnypre musiała wyczuć drżenie przyjaciółki. Odchrząknęła, pozbywając się z twarzy swej zwykłej wesołości.

– Jak się trzymasz? – zagadnęła miękko.

– Raczej nie mam ochoty rozmawiać o... – Vebula urwała, jakby nagle zachłysnęła się wdechem.

Nie umiała dokończyć zdania.

– Wiesz – dodała z wahaniem Hnypre – pojęcia nie mam, czy cię ta wiadomość cokolwiek obejdzie, ale Lothar pytał, czy czegoś potrzebujesz i czy on...

Vebula momentalnie zgrzytnęła zębami.

– Nie potrzebuję – szepnęła twardo. – I nie wspominaj o nim. Może sobie pytać. Jego pytania mnie nie interesują.

– Zawzięta jesteś, Veb – westchnęła złota smoczyca. – On naprawdę żałuje. Zwykle nie współczuję innym, ale Lothar...

– Miałaś o nim nie wspominać.

– Dobra, dobra – Hnypre pokręciła głową z dziwną, w jej przypadku, rezygnacją. – Nie tykamy świeżej rany, załapałam.

– Właśnie – w głosie Vebuli brzmiała z trudem tłumiona gorycz. – Tykanie moich ran boli. Zwłaszcza że mam ich coraz więcej...

Hnypre nie odpowiedziała. Nie było po co. Wkrótce zatrzymały się przy wapiennym wzgórzu, które wystawało z morza drzew niczym ząb z paszczy kudłatej bestii.

– Poczekał na mnie – Vebula przełknęła ślinę, po czym zeskoczyła z Rozpruwacza Obłoków.

Łądowanie nie należało do łatwych, wreszcie dotarła jednak tam, gdzie dotrzeć chciała. Przystanęła w miejscu i patrzyła, jak nigdy mając ochotę stracić wzrok. Ciało ciążyło jej, ciążyła nawet zawieszona na srebrnym łańcuszku próbówka z *gulfa*slup*, maścią siarkową, a drgające tuż obok *Ella”mriucc*, Oko Wody, ulubiony amulet, zdawało się parzyć.

Mimo wszystko nie spuszczała wzroku z osadzonej na trójnogu kuli. Nie przyszła przecież, by uciec, ujrzawszy zdeformowane zwłoki. Musiała stawić czoło prawdzie.

I stało się! Widząc Varvarę, swoją starszą siostrę, upadła na kolana. Później zapłakała wielkimi, smoczymi łzami. Łzami, które tak długo powstrzymywała.

– *Shen uthum*ilccol?* – beznamiętny głos sprawił, że odwróciła się gwałtownie.

Z mroku lasu wychynął jaszczur o ciemnej łusce. Nosił czarny kontusz i idealnie okrągły cylinder, a w szponiastej dłoni ścisnął wysadzaną rubinami laskę. Jego twarz – twarz smoka dojrzałego, choć nie starca – zdawała się nie zdradzać żadnych uczuć. Jedynie jasne, żółtawe oczy zwęziły się i świdrowały Vebulę ostrym spojrzeniem, z którego słynął *Valsyhus Ptherodracon*. *Sancc*rameperr*, Pierwszy Doradca *Zempher Draregiss*rapthiss Rezz*, był znany z zimnego jak lód usposobienia i gorliwego oddania władczyni. O tym ostatnim wiedziała aż za dobrze.

– Co tu robisz? – powtórzył, cedząc każdą głoskę.

Serce smoczycy skamieniało. Spodziewała się spotkać służących albo strażników, których z racji na wysoką pozycję rodu *Pradragorozuhów* mogłaby przekupić. *Valsyhus* za to z pewnością poinformuje Jej Ognistość, że złamała rozkaz... Tak czy inaczej, nie zamierzała sprawić mu satysfakcji i dumnie wyprostowała plecy.

– *Ul'avleb nahcar* – odparła równie oziębłym tonem. – Wykonałam zadanie.

Na dowód wyjęła spod płaszcza to, co przekazały Zempher Dragonus Carpatus. Przedmiot owinięto w skórę niedźwiedzia.

– *Sha*bolore* – Valsyhus nie zmienił wyrazu twarzy. – To oczywiste. Pytałem – zgodnie z królewskim zaleceniem przeszedł na ludzki – dlaczego nie stosujesz się do poleceń.

Vebula przygryzła wargę. Miała nadzieję, że łzy, które niedawno spływały z jej oczu, zdołały przyschnąć przynajmniej odrobinę. Nie chciała, by ktokolwiek widział rozpuszczoną w nich rozpacz.

– Otrzymałam wiadomość o śmierci siostry – wyjaśniła cicho, garbiąc się.

Pierwszy Doradca przekrzywił głowę, co upodobiło go do kościstego kruka.

– Wszyscy tracimy tych, których kochamy – orzekł bez cienia współczucia – ale nikt nie uczestniczy w ceremonii.

Vebula zacisnęła szczęki.

– A ty? – rzuciła butnie. – Nie wyglądasz na *necr''unccor*, kapłana końca. Co cię sprowadza?

– Ci, którzy przytransportowali ciała i przygotowali piec – wyjaśnił najspokojniej w świecie Valsyhus – byli, w moim odczuciu, nazbyt młodzi, by dokonać właściwych *Fthegravius*, Spopielin. Zwłoki powinny spłonąć co do kości. Trzeba wielkiej, naprawdę wielkiej wprawy.

Zapadła cisza, martwa niby zamknięci w kryształowej kuli zmarli. Vebula chłonęła makabryczną kompozycję zamglonym przez smutek wzrokiem.

– Skoro wspomniałaś o *necr''unccor* – ciągnął tymczasem Pierwszy Doradca – wiesz też zapewne, że taka ceremonia nie jest ceremonią pełną! W dawnych czasach, zanim spalono ciało, wyjmowano z niego serce, które kapłan końca składał w darze *Than*therr*lor*a, Wielkiej Świętej Pani, naszej najwyższej bogini, Matce i Karmicielce Jaja Świata. Potem namaszczał ręce, nogi i głowę zmarłego symbolami *Derron''beanus*, Duchów Czterech Żywiołów, by istnienia te pomogły uwolnić *ssob*, duszę, od tęsknot za tym, co cielesne. Na koniec w miejsce serca

wkładał *nah'kinmorr*, dobry kamień, który wskazywał zmarłemu drogę do *Lu'verccarad*, Białej Komnaty. Wedle starych wierzeń znajduje się ona u kresu *Urr'roro*, Tunelu Śmierci, który od strony świata żywych zamyka *Lu'honga*, Biała Brama, czyli...

– Księżyc – wyszeptła smoczyca.

Znała większość wierzeń, które składały się na *Sancc'shaca*, Pierwszą Wiarę. Choć w pełnym technologii świecie często zapominało o prastarej religii, ród Pradragorozuhów dbał, by jego potomkowie szanowali jej współczesną esencję. Nie rozumiała tylko, po co Valsyhus przywołuje podania i zwyczaje.

– *Uthem beanus, puth himnorel* – rzekł, całkiem jakby czytał jej w myślach. – Tam dobre duchy, gdzie tradycja.

Było to słynne porzekadło.

– Tyle że dla nas już za późno – dodał głucho. – Dobre duchy dawno opuściły *Dragonus Cracovus*.

Vebula milczała. Nagle Pierwszy Doradca wykonał ruch, którego nie przewidziała.

– To, że złamałaś rozkaz, zostanie między nami – oświadczył chłodno. – Dam ci chwilę, abyś mogła pożegnać siostrę. Sam żałuję śmierci Varvary Pradragorozuh. Niepowetowana strata.

Spojrzała na niego bardziej zdziwiona niż wdzięczna.

– *Sonne!* – odpowiedziała cicho, jakby nie swoim głosem. – Dziękuję!

Pochyliła czoło, a jej umysłem zawładnęło wspomnienie Varvary, która miała przepaść w płomieniach. Trwało to ledwie parę sekund, ale wystarczyło, by powzięła najtwardsze w życiu postanowienie: dokończy dzieło siostry. W imię pamięci. W imię miłości, która łączyła je węzłem niemal nierozzerwalnym.

Upewniwszy się, że skończyła, Valsyhus powolnym krokiem podszedł do pieca. Uchylił stalowe drzwi, odchrząknął i zionął błękitnym, charakterystycznym dla smoków ogniem. Zwłoki zapłonęły,

a kula zabłysła oślepiająco. Pośród oszronionej ziemi leży wydłużone cienie drzew.

– Aż tyłu...? – szepnęła Vebula, gdy Pierwszy Doradca ponownie stanął obok.

– Trzy razy tyłu. To ostatni. Zaslugują na lepsze Spopieliny, ale ryzyko, że ludzie pojmą, co się dzieje, jest zbyt wielkie. A wiedzieć nie mogą! Wszystko to właśnie dlatego... Noc, las... I co najważniejsze, rozkaz, by nie opuszczać *Ke*vushcass*. Jej Ognistość była świadoma, że Wielki Przyłot przyniesie śmierć... Nie chciała, by zdarzyło się coś, co nas zdradzi. Wolała odczekać z dala od okrzyków przerażenia i przypadkowych świadków.

– Co, jeśli ludzie już...

– Zempher Draregiss*rapthiss Rezz wie, jak zwrócić ich uwagę w inną stronę – westchnął ciężko Valsyhus. – *Craculum*... Tutaj się to zaczęło. I tutaj się skończy. Lecz nie jestem pewien, czy będzie to koniec, którego pragniemy.

Smoczyca ośmieliła się zaprzeczyć krótkim ruchem głowy – miała nadzieję. Nadzieję owiniętą w skórę niedźwiedzia i nieugięte postanowienie, by dokończyć dzieło starszej siostry.